ROK TRZECI.

№ 27.

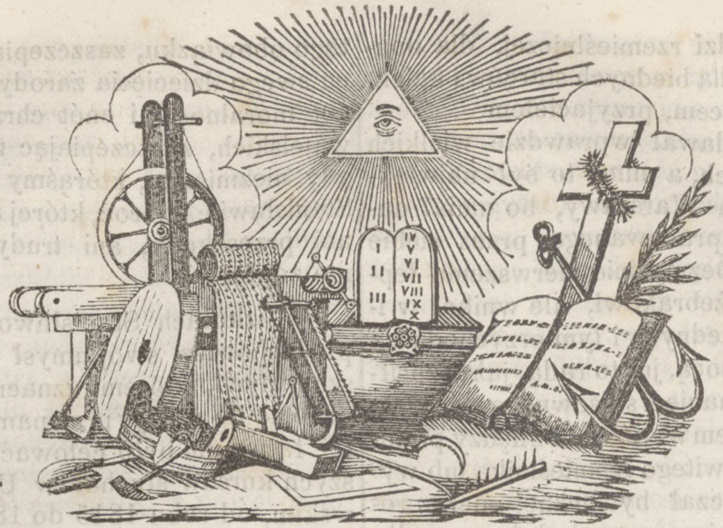
Warszawa

Dnia 22 czerwca
(4 lipca)

1858.

Niedziela

6ta po Świątkach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże zastępów, którego jest wszystko, co jest najlepszem, zaszczep w sercach naszych miłość imienia Twego, i racz dochować w nas bogobojności pomnożenie, iżbyś dobre rzeczy zasiłał, a usilnością swej dobroci strzegł, które już są zasilone. (Kolekta na Niedzielę szóstą po Świątkach).

Stanisław Jachowicz.

Skromnej cnoty, cichego poświęcenia wzorze!
Coś poczciwe uzucia, starą naszą mowę
Wlewał kropla po kropli w pokolenia nowe,
Czem ci się, już zmarłemu, świat wywdzięczyć może?
Tobie tu obojętne głosy i oklaski
Ty *lepsze* słyszysz pieśni, *inne* widzisz blaski;
Tyś już doszedł do celu i stanął u progu,
Pół życia dając ludziom, pół oddając Bogu,
A nic nie zostawując dla samego siebie,
Prócz *pracy*, z którą stoisz u wybranych w Niebie.

J. I. Kraszewski.

Te kilka wierszy znamienitego naszego pisarza, dają ogólny rys życia ś. p. Stanisława Jachowicza; naszem będzie staraniem podać czytelnikom niektóre jego szczegóły, nieobojętne zapewne nietylko dla tych, którzy znali osobiście tego zacnego męża, lecz i dla tych, którzy o nim słyszeli — a że Jachowicz znanym był i z prac i z cnót swoich całemu krajowi, wiadomość więc o życiu jego cały kraj obchodzić winna. Dlatego nie wahamy się poświęcić kilka słów pamięci zasłużonego rodaka, w naszem piśmie, o ile szczupły jego zakres dozwala, dla przekazania imienia jego waszej czci i wdzięczności i jako wzór do naśladowania.

Mało jest ludzi w kraju, którychby imie było tak powszechnie znanem i szanowanem, jak imie Jachowicza; bo też na nie zarabiał przez lat kilkadziesiąt wytrwałych poświęceń dla ludzkości, bo na nie pracował zaprzaniem się samego siebie, ofiarą wszystkich chwil swojego żywota, ofiarą zdrowia i mienia. Życie ś. p. Jachowicza stanowi dla nas niezbity dowód, co może zdziałać szlachetna wytrwałość, przy ograniczonych nawet środkach, kiedy każdemu czynowi myśl dobra bliźnich stale przewodniczy, i dziwić się niemal przychodzi, jak człowiek z tak drobnemi środkami, tak wiele mógł dokonać, skąd czerpał zasoby, i jak wystarczał tyle podejmowanym pracom, tylu przyjętym obowiązkom?

Odpowiedź na to pytanie znaleść możemy jedynie w harcie duszy, jakiśmy niejednokrotnie podziwiali w tym niezmordowanym mężu, w jego nieograniczonej miłości dla dziatek

polskich, dla młodzi rzemieślniczej, dla opuszczonych sierot, dla biednych starców i kalek, dla których był ojcem, przyjacielem.

Jachowicz nie dawał wprawdzie wielkich jałmużn pieniężnych, a mimo to był największym jałmużnikiem Warszawy, bo umiał dawać, bo ciężko zapracowanego przez siebie grosza nie rzucał bezmyślnie pierwszemu lepszemu ulicznemu żebrakowi, ale wnikał w istotne potrzeby biednych i tym przychodził z użyteczniejszą pomocą, już to radą, już to zasiłkiem, już to wyjednaniem stosownego wsparcia lub pożyczki, którem wydźwigał z nędzy podupadłego, ale pracowitego rzemieślnika lub wyrobnika i zabezpieczał byt licznej nieraz rodziny, która bez tej pomocy byłaby popadła w zupełną nędzę i wszystkie jej następstwa. Obok tego Jachowicz był czynnym członkiem wszystkich niemal zakładów dobroczynnych.

Ale zasługi Jachowicza nie na tem jednem ograniczają się polu; jako pisarz, przewodnik polskiej młodzieży, nie mniejsze ma prawo do wdzięczności narodowej. Jego bajeczki i pisma moralne dla dziatwy wykołysały, że tak powiem, całe trzy ostatnie nasze pokolenia, wykształciły młode ich umysły, i serca ich skierowały ku powinności i cnocie. Wniknął on w jej upodobania, słabostki, wady, potrzeby, i ze zręcznością jemu tylko właściwą, napisał nową bajeczkę, nową powiastkę, zdolną zająć i poprawić. W późniejszym wieku zwrócił on swe pióro ku młodzi rzemieślniczej i w przeznaczonych dla niej pisemkach skreślał praktyczne nauki, udzielał doświadczonych rad, a wszystko to czynił z prawdziwem namaszczeniem, z prawdziwą miłością chrześciańską.

O książkach tych dla rzemieślników przeznaczonych, wchodzących ze swej natury w zakres naszego pisma, później nieco obszerniej pomówimy; obecnie ograniczyć się nam wypada na skreśleniu jego cnotliwego żywota.

Stanisław Jachowicz, urodził się w małem miasteczku Dzikowie (w Galicyi) w obwodzie Rzeszowskim dnia 17 kwietnia 1796 r. z szlacheckiej, ale niezamożnej rodziny. Ojciec jego Wojciech był pełnomocnikiem hr. Tarnowskich i odumarł go, kiedy Stanisław był jeszcze dzieckiem. Na pozostałą matkę Wiktoryę z Dobrzańskich spadł cały ciężar wychowania syna. Wywiązała się z tego świętego obowiązku, zaszczepiając głęboko w sercu swego dziecięcia zarody czystej religii, silnej moralności i cnót chrześciańskich i obywatelskich, zaszczepiając tę dobroć serca nigdy niezmienną, którąśmy uwielbiali w ś. p. Stanisławie, dobroć, której ani niewdzięczność, ani przeszkody, ani trudy fizyczne osłabić nie zdołały.

W szkołach Stanisławowskich sposobił ś. p. Jachowicz swój umysł do tych dzieł zaszczytnych, któremi uznacnił swe imie; przy ochocie do pracy, przy pamięci żywej i trwałej łatwo mu było celować w naukach. Wyższych kursów słuchał w Uniwersytecie Lwowskim, od roku 1815 do 1818, gdzie znakomity professor historyi Mauss, bardzo go cenił i poważał, co jest dowodem, jak będąc jeszcze młodzieńcem, umiał już sobie zjednywać życzliwość i szacunek dojrzałych mężów.

Przybywszy w r. 1818 do Warszawy, poznał się z Kazimierzem Brodzińskim i ścisłą związał się z nim przyjaźnią. Wkrótce obrał sobie stan nauczycielski, jako najwięcej odpowiadający jego skłonnościom. Skromny to, lecz ważny dla społeczeństwa, pełen zasługi przed Bogiem i ludźmi zawód, zawód ofiary i poświęcenia, w którym się nie szuka materyalnych zysków, nie oblicza się ziemskich korzyści, ale ma się jedynie na widoku dobro przyszłych pokoleń, dobro ludzkości całej. To też cały żywot spędził Jachowicz w skromnej mierności; dochody bowiem, jakie mu prace jego literackie przynosiły, poświęcał po większej części na wsparcie biednych i nieszczęśliwych. Kiedy w ostatnich latach mało mogąc pracować, zbyt szczupłe miewał dochody, życzliwym osobom, które go zachęcały do większej oględności w szafowaniu jałmużn, przez wzgląd na siebie i własną rodzinę odpowiadał:

— Mnie znają i nie dadzą umrzeć z głodu, a ten biedak nie ma chleba. Tak to pojmował obowiązki chrześciańskie i taką miał wiarę w swoich rodakach, którzy jej też nie zawiedli, jak się to okazało i przy wydawnictwie pisma, pod tytułem *Wieniec*, na korzyść ś. p. Jachowicza, przez skwapliwą i nadzwyczaj liczną prenumeratę.

Pod wpływem takiego mistrza, wykształciło się niejedno szlachetne serce, niejedna za-

cna matka rodziny i obywatelka kraju jemu zawdzięcza swe moralne stanowisko, niejeden mąż znakomity czynem, lub głośny z nauki, w nim głównego miał mistrza.

Jachowicz zostawszy w r. 1832 członkiem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, poświęcił się z nadzwyczajną gorliwością rozwinięciu szkółki sierot chłopców, pod opieką Towarzystwa zostającéj. Towarzystwo oceniając poświęcenie się jego dla dobra téj instytucyi, z wszelką bezinteresownością mianowało go wkrótce opiekunem tejże szkółki. Następnie w r. 1839, Jachowicz był jednym z najczynniejszych założyciel sal ochrony w Warszawie, a nawet własnym kosztem jeździł za granicę, dla bliższego obznajmienia się ze sposobem prowadzenia dzieci w tego rodzaju zakładach.

W r. 1844 po utworzeniu oddzielnego zakładu sierot dziewcząt, i zamienieniu szkółki sierot chłopców, na zakład sierot płci męzkiéj, mianowało Towarzystwo Jachowicza Naczelnikiem sekcyi sierot, któréj głównym obowiązkiem jest czuwanie nad dobrem obudwu zakładów, już to starając się o moralne wychowanie znajdujących w nich przytułek sierot, pozbawionych rodziców i familii, już też obmyślając źródła dochodów na pokrycie wydatków z utrzymania tych instytucyj wynikających, a dochodzących rocznie do 9,000 rs. (60,000 złp.)

Dzięki bezprzykładnemu poświęceniu się i troskliwości Jachowicza o dobro powierzonej jego opiece instytucyi, zakłady sierot w krótkim czasie olbrzymi zrobiły postęp, bo z liczby 12 sierot pierwotnie utrzymywanych w gmachu Towarzystwa, rozwinięte zostały do tego stopnia, że dają dziś przytułek 170 dzieciom, opieki rodzicielskiej pozbawionym, które ucząc się rzemiosł i nauk przyszłemu ich stanowi właściwych, kształcą się na pożytecznych członków społeczeństwa. Przy takiem rozwinięciu instytucyi sierot, trzeba było obmyśleć nietylko środki zebrania funduszów na zaspokojenie potrzeb bieżących, lecz również zebrania kapitału na wybudowanie domu dla zakładu sierot chłopców, którego tak ze względów moralnych, jako też dla braku odpowiedniego lokalu, w głównym gmachu Towarzystwa nie można było dłużej z zakładem sierot dziewcząt utrzymywać.

Wówczas Jachowicz pierwszy podał myśl nabycia placu przy ulicy Nowy-Świat i wybudowania na takowym odpowiedniego domu. Myśl ta jednozgodnie przyjętą została; lecz zachodziła trudność w zebraniu odpowiedniego kapitału, który według anszlagów budowniczego przenosił summę rs. 20,000 (złp. 133,333 gr. 10). Jachowicz nie zraził się tą trudnością, a stawszy się odtąd prawdziwym *kwestarzem*, większą połowę tej summy, bo do 12,000 rs. (80,000 złp.) zebrał (1) staraniem swojem, i tym sposobem postawił Towarzystwo w możności przywiedzenia do skutku tego ważnego i tak pożytecznego projektu. Jachowiczowi więc głównie należy się wdzięczność za doprowadzenie instytucyi sierot do stanu, w jakim się dziś znajduje.

Nieustający w zabiegach o dobro i pomyślność tego zakładu, Jachowicz dopóki ostatka sił nie wyczerpał, zawsze był gorliwym opiekunem osierociałych wychowańców Towarzystwa, i skrzętnie obmyślał i zbierał fundusze na zaspokojenie bieżących potrzeb instytucyi sierot. Jego to stosunkom i pracy zawdzięcza Towarzystwo znaczną część zapisów i ofiar, stanowiących obecnie fundusze wieczyste kapitalne zakładów sierot, a które według sprawozdania za rok 1854 wynoszą summę ogólną rs. 23,385 kop. 98 i pół, czyli złp. 155,906 gr. 17.

To nieprzerwane pasmo szlachetnych czynów Jachowicza ośmieliło Towarzystwo, że w r. 1842 przedstawiony został do nagrody Monarszej, i Najjaśniejszy Pan raczył najmiłościwiej zaszczycić go orderem Sgo Stanisława klasy IIIciej.

Nietylko na drodze ludzkości Jachowicz stał się pożytecznym członkiem społeczeństwa, lecz z równąż usilnością pracując na niwie literackiej, obdarzony z natury szczególnym talentem przemawiania do pojęcia i serca młodocianego wieku, wydał dwadzieścia

(1) Kiedy już myśl wystawienia oddzielnego domu dla sierot przez Jachowicza podana, przyjętą została, ten znajdując się w pewnym domu, odezwał się, iż go trapi niepewność, zkąd weźmie funduszu na budowę. Jeden z obecnych uczniów jego, Józio, odezwał się, iż daje 2 złote. Uściskał go Jachowicz, wziął datek, który stał się węgielnym kamieniem zebranéj summy, dochodzącéj, jak już rzekliśmy do 80,000 złp.

kilka tomów różnych powieści, bajek i książeczek dla dzieci, które ze względu na swoje dążności moralne, religijne, styl gładki i przystępny do pojęć dziecinnych, stały się wielce upowszechnionemi i niewątpliwie w niejednem sercu zaszczepiły zasady moralności i cnoty, czego liczne dowody miało towarzystwo na wychowańcach zakładów sierot płci obojga. (2).

Obok zasług, jakie położył Jachowicz jako członek Towarzystwa Dobroczynności, ileż on nie otarł łez niedoli poza jego obrębem — ośmielimy się parę przytoczyć przykładów, chociaż tysiące ich pozostaje dotąd w ukryciu, bo Jachowicz trzymał się zasady: *Niechaj nie wie lewica, co daje prawica.*

W piewszych latach swego ożenienia nie mając potomstwa, a dowiedziawszy się o nagłem osieroceniu jednej ze swych uczennic, którą znał tylko z pensyi, wziął ją do siebie, a kochając jakby własną córkę, miał o niej jak najtroskliwsze staranie aż do pójścia jej za mąż. Po śmierci siostry swéj żony, przyjął w dom swój czworo pozostałych sierot, nie czyniąc pomiędzy niemi żadnej różnicy od dzieci swoich, z któremi je wychowywał. Obok tego, jednego sierotę wychowywał przy synach swoich. Raz powrócił do domu bez koszuli, oddawszy ją nieszczęśliwemu, który jej potrzebował, drugi raz znowu włożył na biednego jedyne ciepłe okrycie, jakie sam posiadał. A ileż to ubogich panienek poumieszczał w zakładach naukowych za pracę swoję, za udzielanie bezpłatne lekcyj po pensyach? Ileż to nawiedziło progi jego ubogich, których zwał najlepszymi przyjaciołmi swymi? Ileż nie wyżebrał wsparć dla podupadłych rzemieślników, na założenie warsztatów poczynającym robotnikom, na wdowy i sieroty, które przechodziły liczbę mogących się pomieścić za jego wpływem w Towarzystwie Dobroczynności. On jako prawdziwy niedostatniej braci opiekun, wiedział bardzo dobrze, że miłosierdzie nie ogranicza się jednym zakładem, ani jednem wsparciem; on był myślą, sercem, duszą we wszystkich zakątkach i działał wszędzie i zawsze, gdziekolwiek tylko mógł być czynnym i użytecznym.

Takim to był czynny, pracowity, pełen cnót i zasług żywot Stanisława Jachowicza; to też w lat 50 kilka stérał siły i podupadł na zdrowiu; 61 lat tylko przeżył, a przecież widzieliśmy już w nim starca niedołężnego, podupadłego na wszystkich prawie władzach, tak go sponiewierała i wyniszczyła praca.

Jachowicz zmarł w dniu 24 grudnia r. z. w sam dzień wigilii Bożego narodzenia, jakby się spieszył uczcić tę wielką chrześciańską uroczystość w samym przybytku Pana zastępów, do którego usłał sobie drogę w swem życiu wypełnieniem tych wielkich cnót, jakie nam Boski nasz mistrz zalecił.

Smierć jego osierociła żonę Antoninę z Ośmiałowskich, i dwóch synów Eryka lat 16 i Rudolfa lat 12, w chwili, kiedy opieka ojca najpotrzebniejsza być im miała. Zostawił wszakże dla nich z życia swego najlepszy wzór do naśladowania, oraz imie otoczone czcią i poważaniem wspól-ziomków.

Zwłoki jego spoczęły na cmentarzu Powązkowskim, gdzie nie wątpimy stanie w krótce pomnik godny zasług nieboszczyka.

Opatrzność Boska.

—

Pani N. któréj mąż zajmował jedną ze znaczniejszych posad na prowincyi, z jego śmiercią ujrzała się nagle w nader smutnem położeniu; ponieważ pan N. umierając, nie miał spełna 20 lat służby etatowej, pozostała więc wdowa pozyskała jedynie wsparcie, rocznej płacy zmarłego wyrównywające. Wsparcie to pomnożone niewielką kwotą zebraną ze sprzedaży zbywających ruchomości, było całym funduszem do dalszego jej utrzymania z córeczką, dziewczynką lat ośmiu. Śmierć ukochanego małżonka tak dotkliwie uczuła, iż postanowiła opuścić miejsce dotychczasowego pobytu, gdzie jej wszystko i dawny dobry byt i szczęście domowe przypominało, i przeniosła się przed kilku laty do Warszawy, iżby w jakim odległym kąciku ukryć teraźniejsze

(2) Cały ten ustęp czerpniętym został z memorjału z dnia 20 marca (1 kwietnia) 1856 r. zaniesionego przez Towarzystwo Dobroczynności do Tronu, celem wyjednania dla Jachowicza dożywotniéj płacy, ze względu na stan jego niezamożny i kalectwa (ślepoty), jakiemu uległ w skutek swej niezmordowanéj pracy, którą też uzyskał w kwocie rs. 300 rocznie z przeznaczeniem na pozostałą żonę i dzieci.

swoje ubóstwo, i oddać się wychowaniu ukochanego dziecięcia, jedynego zadatku małżeńskiej czułości. Spodziewała się nieboga, iż odmáwiając sobie wszelkich wygód i przyjemności życia, zdoła posiadanym funduszem zaradzić najnajglejszym'potrzebom do chwili, w której ukochana jej córka w starannej i gruntownej edukacyi znajdzie dostateczne środki do przyzwoitego dla siebie utrzymania i pielęgnowania matki w starości. To też nie szczędziła żadnych starań i ofiar dla wszechstronnego wykształcenia umysłu swego dziecka, które odgadując instynktowo nadzieje i chęci matki, oddało się z zapałem nauce, której początki są zwykle trudne i nienęcące. Polubiła nadewszystko muzykę, do której wrodzoną miała skłonność i talent, i w której pomimo młodego wieku, zadziwiające czyniła postępy. Z tąd ją w domu, w którym mieszkała z matką, zwano małą wirtuozką.

Tak upłynęło lat dwa, ubywał grosz za groszem, pomimo najściślejszej oszczędności. Pani N. widziała z przerażeniem, jak szczupły jej fundusik stopniał całkowicie to na potrzeby domu, to na edukacyę Władzi, która w widokach, jakie miała względem niej matka, musiała być dosyć kosztowną. Władzia całkiem zajęta swą nauką, nie zwróciła uwagi na niedostatek, jaki się coraz bardziej w dom ich wciskał; przyszło już bowiem do tego, że pani N. była w konieczności pozbycia się wielu sprzętów, ale nie chcąc ranić niemożebną serca córki, taiła przed nią swe położenie. Wszystko wszakże ma swój koniec; toż i podobna tajemnica stała się dłużej niemożebną. Pani N. więc przywoławszy do siebie córkę, rzekła jej, zalewając się łzami: Moje biedne dziecię, muszę ci objawić wreszcie smutną prawdę. Fundusze, jakie miałam, wyczerpały się; oto ostatni rubel, który wydawszy, przyjdzie mi chyba wyciągać rękę o wsparcie, dla uproszenia kawałka chleba dla ciebie. Cóż się z nami wtedy stanie, o mój Boże!...

Władzia słuchała ze smutkiem tego zwierzenia, lecz odzyskując wkrótce całą swą wesołość, uwiesiła się u szyi matce, a ocierając jej łzy swemi pocałunkami, rzekła jej z uśmiechem dziwnej prostoty:

— Nie martw się tak bardzo, dobra mamo! obaczysz, że nie wszystko jeszcze stracone. Mówiłaś mi po tylerazy, że Bóg nie opuszcza nigdy nieszczęśliwych; dodawałaś, że lubi nadewszystko modły dziecięce. To dosyć, ja liczę na Niego; zobaczysz, że mi się uda.

Pani N. ucałowała z rozrzewnieniem swego aniołka, co ją tak pocieszał, nie przywięzując wszakże żadnej wagi do jej słów, następnie wyszła do miasta.

Po odejściu matki Władzia usiadła do swojego stoliczka, wybrała najpiękniejszą ćwiartkę papieru, jaką znalazła, następnie zapełniła ją pismem jak mogła najforemniejszem i złożyła ją w formie listu. Był to rzeczywiście list, w którym mała wirtuozka przedstawiała smutne położenie swej matki.

Zapieczętowawszy go, wypisała na nim następujący adres:

Łaskawemu i dobremu
Panu Bogu,
w Niebie.

Ale jak go przesłać, czy wrzucić go w urządzone po ulicach skrzynki pocztowe? Oh! nie; zbyt ona miała trafne w tej mierze pojęcie—to też jej rozsądek i uczucie religijne podały środek daleko prostszy.

Szczere to i niewinne serce przy żywej wyobraźni, pojęło to cudowne zdanie, umieszczone w poblizkim ich mieszkania kościele, nad skarboną ubogich: Kto biednemu daje, Bogu pożycza... Przypomniana sobie o niem i wnet powstaje w jej główce myśl, że skoro tam pożyczają Bogu, to widać, że tam Bóg jest dla odebrania tych ofiar, że czuwa w bliskości nad ową skarboną biednych. Otóż to wyborna skrzynka na listy adresowane do nieba, które pewnie w miejsce bryftregerów, aniołowie roznoszą; tam tedy wrzucę swój list, a niewątpliwie rąk Bożych dojdzie.

Uszczęśliwiona swoją myślą, biegnie Władzia z listem do kościoła; było już po mszy i tylko kilka jeszcze osób modliło się. Przed najbliższym ołtarzem, przy którym klęczał podeszły już jegomość, pada na kolana, zanosząc gorącą modlitwę o pomyślny skutek swego przedsięwzięcia; następnie wstaje i podchodzi ku skarbonie, ale skarbona wysoko, wspina się więc na palce, chcąc jej dosięgnąć; próżne wszakże są wysilenia, drobny jej wzrost staje im na przeszkodzie. Łzy stają

w oczach, nie wie bowiem, jak sobie poradzić, a czuje, iż od tego zawisła dola matki. Wtem zbliża się ów podeszły jegomość, który widział i jej gorącą modlitwę i jej bezowocne wysiłki, i zapytuje z dobrocią: cóż to chcesz moja mała? Ach! panie odrzekła błagalnie, pomóż mi ten list wrzucić do skarbony. Zdziwiło go podobne żądanie, ale nie okazując tego po sobie, dobrze, moje dziecię, rzekł, wziąwszy list z jej rąk i przeczytawszy w przelocie adres, który go wprawił w zdumienie, wsunął go otworem do skarbony. Władzia podziękowała mu za tę pomoc uprzejmie i pełna otuchy pośpieszyła do domu; ów zaś jegomość udał się do przełożonego kościoła i opowiedziawszy mu zaszłe zdarzenie, prosił o otworzenie skarbony, wyjęcie owego listu, domyślając się w tem bardzo naturalnie jakiejś niedoli, którą chciał wesprzeć tajemnie. Przełożony przyzwolił na to chętnie, wkrótce list został otworzony, a w nim pan wspomniony wyczytał te słowa:

Łaskawy i dobry Boże!

Ty, co jesteś tak miłosierny i dobry, że się wszystkim, nawet największym nędzarzom pozwalasz nazywać ojcem; Ty, co zaleciłeś nam miłować całem sercem swoich rodziców, nie odrzucisz pokornej prośby swojego dziecięcia za matką.

O mój Boże! matka moja bardzo nieszczęśliwa i biedna; przed chwilą uściskała mię cała we łzach, powiadając, iż z ostatnim groszem wychodzi do miasta i że jak się ten wyda, będziemy bez chleba, że nam zagraża głód i nędza. Ty Panie, co jesteś tak dobrym i wszechmocnym, nie dopuścisz tego, ażeby dzieci Twoje z głodu pomarły, i ześlesz nam pomoc i pociechę, na które z całą wiarą i ufnością oczekuję.

Twoja najprzywiązańsza Panie Boże córka,
Władzia.

Ulica nn. Nr...

Nazajutrz rano otrzymała biedna wdowa w kopercie pod adresem Władzi kwotę Rs. 300 z karteczką, obejmującą te tylko słowa: *Odpowiedź Pana Boga na list Władzi.*

O farbowaniu drzewa.

IV.

5. *Farba brunatna.*

(Patrz nr. 16 Czytelni)

Pierwszy sposób jej wyprowadzenia na drzewie, polega na użyciu serwaseru (acidum nitricum), który szmatką płócienną wciera się w powierzchnię, chroniąc się zmaczania palców. W miejsce tego środka użyć można rozpłynu 1ej części koperwasu żelaznego w 8miu częściach wody, z małym przydatkiem serwaseru. Przedmiot natarty jedną z powyższych zapraw suszy się ponad żarzącemi węglami, lub przy gorącym piecu.

Kolor orzechowego drzewa powstaje na stolarskich wyrobach, pocierając je tęgim wywarem wodnym, zrobionym z zielonych łupin owocu orzecha włoskiego. Chcąc tej orzechowej farbie nadać odcień różowawy, należy do wywaru powyższego dodać w miarę płynu powstającego przez rozgotowanie, orleanu w wodzie, z małym przydatkiem potażu.

Drzewo ufarbowane fernambukiem na czerwono, przyjmie brutnatny kolor, jeżeli się je pociągnie roztworem żelaza w serwaserze.

Kolor zielonawo-brunatny osięga się, zaprawiając drzewo wywarem zrobionym z 1ej części kwercytronu i dwóch wody; poczem wciera się płyn złożony z 1ej części koperwasu żelaznego i 2ch wody. Oba wcierania powtarzają się naprzemian, dopóki kolor żądany nie wyjdzie.

Kolor czerwono brunatny wydobyć można, zaprawiając powierzchnię rozpłynem wodnym koperwasu miedzianego, a po jej wysuszeniu, wcierając ług wodny soli, zwanej cyankiem żółtym żelaza i potassium (Gelbes cyancisenkalium oder Blutlaugensalz).

Jasnym gatunkom drzewa, jakiemi są np. jesion i klon, udzielić można dobry kolor czerwono-brunatny, pocierając je naprzód wywarem wodnym z katechu czyli kaszu, z przydatkiem małym węglanu sody. Przedmiot tą cieczą dobrze napojony, moczy się rozpłynem wodnym dwuchromianu potażu (bichromas kalicus), a wtedy dopiero oczekiwana barwa powstaje.

Drzewo bukszpanowe otrzymuje jasną, mahoniowo-brunatną barwę, pociągając je pręd-

ko płatkiem płóciennym namoczonym nieco serwaserem dymiącym; poczem wyciera się do sucha świeżym płatkiem, w końcu namaczanym w oleju lnianym.

6. *Farba szara.*

Rozmaite odmiany koloru szarego wyprowadzić można zaprawą czarną po nrem 2gim opisaną, dobierając ją większym lub mniejszym stosunkiem wody, a przytem dodając podług potrzeby wywarów czerwonego z niebieskim, albo też czerwonego z żółtym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Głosy cudowne.

—

O pięć mil od Humania, lecz już w Podolskiej gubernii, leży Międzyrzeczka, wieś niewielka, którą oplata kręty strumyk, gęstym szeregiem wierzb oznaczony, na tle łąk i pól uprawnych. Tam w rzęd stoi chat kilkanaście, dalej za chatami włościańskie ogrody, na wzgórzu stary obszerny dwór, a przy nim drzewa, co na setki lat liczą życie swoje. Na boku wsi cerkiew i cmentarz, a wokoło lasu ani poświeć... step tylko okiem nieprzejrzany tęskne myśli nawodzi do głowy i powiedziałbyś, że tam bardzo smutno i nudno, gdyby nie pokazujące się w całej okazałości swojej na pięknem i rozległem wzgórzu Chołowanieskie. Mała to mieścina, która jednak ze swym kościołem katolickim i kilkoma domami murowanemi wśród czereśniowych gaików, mile w oko wpada.

Zielone świątki obchodzą tam, tak jak wszędzie u nas, bardzo wesoło. Chaty, które są tam prawdziwe lepianki, bo z chróstu i gliny robione, wyglądają wtedy tak chędogo jak nigdy. Każda gospodyni sama biegnie lub córkę posyła do gliniska po świeżą glinę i niejedna tak pięknie *wymaści* (1) swoję siedzibę, jakby mularz najbieglejszy. Lecz strach chodzić do gliniska, bo glina wabi do siebie, żeby zgubić, jak utrzymuje lud tamtejszy. Nie wiedzą właśnie tego, że oni sami siebie gubią, kopiąc nierozważnie jamę podziemną, której sklepienie gdy je rozmoczą deszcze, zawala się łatwo, a wtedy biada temu, kto się wewnątrz znajduje. Otóż w Międzyrzeczce na końcu wsi była ogromna jama taka, z której wyborną wydobywano glinę i dlatego też każdy tam podążał. Gospodyni Mantocka wołała od samego rana w wilją Zielonych Świątek na swoję córkę Todoskę, żeby się wybrała do gliniska, mówiąc, że lepiej się pospieszyć z robotą, niż ją zostawiać na ostatnią godzinę. Lecz Todoska przygotowywała sobie jeszcze nowy fartuch i spodnice na święta, więc też odpowiadała zawsze, że jeszcze dość czasu; aż nareszcie i słońce zaszło. Ona wtedy schwyciła szaflik i już biegła do gliniska, kiedy ją znów wstrzymała matka, mówiąc, że może i lepiej chatę po świętach oblepić, kiedy jeszcze niebardzo odrapana, a dziś już do nocy niedaleko.

—Niech tam matko, pójdę, zawołała Todoska, chatę koniecznie *wymaścić* trzeba na święta; nie zasnęłabym dzisiaj spokojnie, gdybym tego nie uczyniła.

— Może to glina tak cię woła, nie chodź, nie chodź Todoska.

— Ależ! matko! puszczajcie, oto idą także trzy dziewczyny—pobiegniemy prędko i wnet wrócimy.

Poskoczyła za drzwi i przodując trzem rówiennicom, biegła, śpiewając z podniesionym rydlem.

Jama przedstawiła się jej jeszcze większa, bo przez ten cały dzień dużo ludzi brało glinę. Przyklękła zatem Todoska i pochyliła się, chcąc zaraz z brzegu nabrać dla siebie, a w tem rydel jej założony na ramię o sklepienie lekko trącił i w oka mgnieniu zwaliła się część kamienistego tropu na jej głowę i plecy. Nieboga, nie miała nawet chwilki czasu, żeby Bogu duszę swą polecić.

Przelęknione jej towarzyszki zaczęły głośne zawodzić żale; zbiegli się ludzie ze wsi, odkopano trupa Todoski i znaleziono, że miała kręgi pacierzowe złamane od silnego uderzenia. Pogrzebiono ją na cmentarzu, stroskani rodzice sprawili nabożeństwo, a ze dworu rozkazano natychmiast zasypać to glinisko i brać glinę z innego miejsca. Lecz choć przykazano kopać z góry otwór, jednak chcąc się dobrać do lepszej gliny, ludzie nie zważając na świeżo wydarzone nieszczęście, zaczęli kopać postaremu zboku, zostawując na wierzchu wątłe sklepienie z piasku zwirowatego. Zdarzyło się, że następnego roku po owym przypadku Todoski miało się odbywać sute

(1) Jest to wyraz tam używany, znaczy: *wylepi.*

wesele w chacie Semena, a panna młoda dbała, aby wokoło niej było tak czysto i wesoło, jak w jej sercu poczciwem, zapragnęła mieć glinę do wylepienia chaty. Jednak z pójściem zwłóczyła od godziny do godziny. Ona znała Todoskę i gorzko śmierć jej opłakała, a nasłuchała się tak strasznych opowiadań o podobnych wypadkach: jak to czasem w glinisku odzywają się głosy podziemne, które słysząc ludzie, oprzeć się im nie mogą i biegną na śmierć pewną, jak dusze tym sposobem zabitych nie mają nigdy spokoju, jeno błąkają się, potrzebując ratunku, że biedna dziewczyna drżała ze strachu; szła przecież, szepcąc modlitwę do Matki Boskiej. Wtem ujrzała niedaleko gliniska wypoczywających czumaków. Są to furmani, co wożą do Odesy zboże, miód i różne inne przedmioty. Ci ludzie zaczęli na nią wołać:

— Gdzie biegniesz dziewczyno? Bój się Boga, stój!

I jeden zastąpił jej drogę.

Wtedy Taciana chcąc się od nich uwolnić, pobiegła cwałem do gliniska, a czumaki śmiejąc się do siebie, wołali za nią:

— Glina cię woła, lecisz na śmierć, wróć się, bo jak usłyszysz głosy, toś już zgubiona, Wróć się, wróć.

Lecz Taciana już przy otworze zatrzymała się z mocno bijącem sercem, gdy wtem, o! straszne dziwy, z gliniska słychać głosy okropne, huczące, przeciągłe, najmniejszego do ludzkich podobieństwa niemające. Pot zimny oblał biedną Tacianę, czuła, że już jej ostatnia wybiła godzina i padła, jak martwa na ziemię. Podbiegli czumaki, żeby ją podnieść, gdy wtem zza gliniastego pagórka wyszło kilku ludzi, którzy byli posłani ze dworu, żeby dla uniknienia nowego nieszczęścia, zawalić znowu to glinisko. Ci zrobiwszy otwór z drugiej strony pagórka, naradzali się nad sposobem zawalenia go tak, żeby sami szwanku nie ponieśli. Ich to głosy rozlegające się po jamie nabawiły Tacianę takiego strachu.

Podobnie wytłumaczyć się dają wszystkie, rozpowiadane przez łatwowiernych ludzi przywidzenia o duchach przechadzających się po ziemi o północy przy świetle księżyca, lub hałasujących posuwaniem stołków, pukaniem, brzęczeniem po szybach, w mieszkaniach ludzkich. Po cóżby tu wracały dusze, raz stanąwszy przed sądem sprawiedliwości Boskiej. i czy można przypuścić, aby wracały po to, żeby dręczyć strachem pozostałych na świecie ludzi, których jeszcze znały i kochały.

Lecz zostawiliśmy nieszczęśliwą Tacianę zemdlałą skutkiem niedorzecznych przesądów. Ledwo ją zdołano przywołać do życia, jednak na drugi dzień nie było wesela, bo panna młoda leżała chora śmiertelnie. Wstała zaledwie po kilku miesiącach, i pomimo największych starań miejscowego doktora, którego sama dziedziczka do niej przysyłała, pozostało jej na całe życie drżenie w ciele, które jej się wracało, ilerazy się tylko zmartwiła, lub przeraziła czego.

Myślicie zapewne, że mieszkańcy Międzyrzeczki przestali wierzyć, że glina woła. Gdzie tam!—mimo najoczywistszych dowodów i rozpowiadań świadków naocznych, rozeszła się po wsi wieść, wręcz prawdzie przeciwna, że Taciana wabiona przez glinę, biegła na śmierć niechybną, tylko ją czumak przez gwałt za rękę zatrzymał; gdy tymczasem on ją jeszcze więcej przestraszył głupiemi żartami swemi. I chociaż wiedziano dobrze, kto wtedy rozmawiał w glinisku, nie ustała przecie wiara w głosy podziemne, ludzi na śmierć wabiące. Lecz każdy człowiek prawdziwie rozsądny i pobożny wierzyć powinien w jeden tylko głos cudowny, ciągle na nas wołający, jeżeli go w sobie przez gwałt nie zagłuszamy, a tym jest głos sumienia, co ostrzega o złych postępkach i do upamiętania przywodzi.

Przysłowia.

1. Przeszłe przypadki, stoją za świadki.
2. Przodków sławnych zły potomek szpeci.
3. Przykład lepszy niż nauka; czyń co mówisz, to mi sztuka.
4. Rozstanie z miłymi śmierci się równa.
5. Łatwo rozproszyć, niełatwo zebrać.
6. Dobre samo się zaleca.
7. Szata świetna nie ozdobi złego, a uboga nie oszpeci dobrego.
8. Szczęście ci sprzyja, nie podnoś się, szczęście się przeciwi, nie upadaj.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować.—Warszawa d. 16 (28) czerwca 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*